

Agnieszka Kołakowska: Pingwiny, szczury i znudzone psy, czyli globalne ofiary

Przemysł globalnego ocieplenia staje się coraz bardziej absurdalny, nachalny i dogmatyczny. Można się pocieszać, że tak zawsze bywa, gdy grupy interesów kurczowo trzymają się przegranej sprawy – pisze Agnieszka Kołakowska



W przemyśle globalnego ocieplenia nie tylko nic się nie zmieniło, lecz przemysł ten stał się coraz bardziej absurdalny, nachalny i dogmatyczny. Można się pocieszać, że tak zawsze bywa, gdy grupy interesów kurczowo trzymają się przegranej sprawy – pisze Agnieszka Kołakowska

Do niedźwiedzi polarnych (które nadal mają się znakomicie, o czym za chwilę), wojny w Syrii, suszy (której nie było śladu) oraz pingwinów (wśród których ostatnio rzeczywiście było sporo zgonów, ale to dlatego, że zablokowała ich normalne drogi na wschodniej Antarktydzie ogromna góra lodowa, która zmusiła je do dalekich i wycieńczających wycieczek w poszukiwaniu pokarmu) ostatnio doszły psy. Z piosenki Kabaretu Starszych Panów pamiętamy, że „w czasie deszczu dzieci się nudzą”. Niestety, nikt jak dotąd nie pomyślał o losie psów, które z nudów wpadają w depresję. Dlaczego się nudzą? A dlatego, że wskutek globalnego ocieplenia – przepraszam, zmian klimatycznych – zimą jest więcej deszczu, a więc i błota. A skoro ich właściciele za błotem i deszczem nie przepadają, to psy zamiast radośnie się w nim tarzać, o wiele więcej czasu spędzają zamknięte w domu. Tak przynajmniej twierdzi pewna pani w Anglii, która trudzi się wychowaniem psów. Podobno nigdy jeszcze nie było w tym kraju takich ilości zdeprimowanych psów. Jej zdaniem winę ponosi globalne ocieplenie. Również konie ponoć z trudem znoszą takie warunki: „mówią, że już nie mogą tego wytrzymać”. Jeden brytyjski komentator, omawiając te wypowiedzi zamieszczone w gazecie „Independent”, słusznie zauważył, że to, czego naprawdę nigdy jeszcze nie było, to gadające konie. I zadumał się, czy ta nowa końska – dość jednak zaskakująca – umiejętność jaką jest dar mowy, również jest skutkiem globalnego ocieplenia.

To jednak nie koniec zmartwień. Są bowiem tacy, którzy obawiają się, że neolityczne kamienie Stonehenge – które w ciągu wielu tysięcy lat przetrwały o wiele większe zmiany klimatu niż dzisiejsze (od średniowiecznego ocieplenia w wiekach X-XIII do następującej po nim tak zwanej małej epoki lodowej) – są ponoć zagrożone powodziami wskutek (całkowicie fikcyjnego) wzrostu poziomu morza. Ale nie tylko.

Groźne mogą być także ciepłe zimy oraz... króliki. Nie udało mi się zbadać jednak, czy między ciepłymi zimami a zwiększonym zagrożeniem ze strony królików postuluje się jakiś związek.

Spece od środowiska robią też, co mogą, aby pokazać zagrożenie (równie fikcyjne) dla misiów polarnych. Wynajdują więc coraz to lepsze powody, by bić na alarm: ostatnio oświadczyli, że w kanadyjskiej Arktyce znaleziono okaz, który byłby mieszanką niedźwiedzia polarnego z grizzly. Miało to niezbitnie dowodzić, że globalne ocieplenie spycha niedźwiedzie polarne coraz bardziej na południe, gdzie zaprzyjaźniają się z niedźwiedziami grizzly. Po testach DNA na inkryminowanym niedźwiedziu okazało się jednak, że biedaczysko nie jest żadną mieszanką, lecz normalnym grizzly, tyle że jasnego koloru. Po prostu, Bogu ducha winny blondyn, któremu z pewnością nie w smak by były takie pomówienia o jego pochodzeniu.

Nie zraża to jednak ekologów. Zrozpaczeni brakiem dowodów na globalne ocieplenie ogłosili niedawno więc, że pewien australijski szczur wymarł właśnie na skutek ogólnoświatowego wzrostu temperatur. Mówili, że jego zagłada jest wynikiem (nieistniejącego) podniesienia się poziomu oceanu. I choć wydaje się, że to biedne zwierze rzeczywiście wymarło, to jednak nie z powodu antropogennego globalnego ocieplenia ani ekstremalnych temperatur, lecz wskutek zlokalizowanych burz (z ociepleniem nie mających nic wspólnego), które stopniowo, acz skutecznie, niszczyły jego siedlisko na jednej z australijskich wysp.

Ociepleniowcy w coraz większej desperacji starają się wynajdywać niemal wszędzie fikcyjne skutki ocieplenia i zwać winę na co się tylko da. Ostatnio za globalne ocieplenie obwiniona była nawet nieżyjąca już Margaret Thatcher. A może było odwrotnie: może to globalne ocieplenie stało za tym zniechęconym przez lewicowych obrońców planety zjawiskiem, jakim była pani Thatcher? W sumie, nie byłoby w tym nic zaskakującego. Wszak tylko parę dni trzeba było czekać, nim ktoś oświadczył, że to globalne ocieplenie ponosi winę za Brexit. (Brexit, zdaniem autora tej opinii, był bowiem wynikiem straszenia ludzi uchodźcami, którzy są konsekwencją wojny w Syrii, która z kolei jest skutkiem globalnego ocieplenia.)

Globalne ocieplenie jest odpowiedzialne także za Donalda Trumpa. A papież Franciszek w swojej encyklice „Laudatio Si” obwinia za nie kapitalizm i wolny rynek. Biedni, pisze Franciszek, zwłaszcza w Trzecim świecie, boleśniej cierpią wskutek zmiany klimatu, ponieważ mieszkają tam, gdzie wyrządza ona (zmiana klimatu) największe szkody. Oczywista myśl, że może biedni bardziej cierpią, ponieważ są biedni, nie przychodzi mu do głowy, ponieważ – jak widać wyraźnie z całości tej encykliki – odrzuca on kategorycznie, z powodów ideologicznych, równie oczywistą dla zdrowego rozsądku i historycznego zmysłu myśl o korzyściach, jakie mogą płynąć z wolnego rynku, przemysłu, wzrostu gospodarczego w systemach kapitalistycznych, postępu technologicznego itd. Nawołuje Franciszek do eliminacji biedy, lecz zdaje się nie zdawać sobie sprawy, czy raczej po prostu odmawia przyjęcia, że – jak dobitnie pokazuje historia ostatnich paru wieków – poprawa losu biednych ma wiele wspólnego z rozwojem przemysłu, ułatwieniem i zwiększeniem wydajności rolnictwa i – zwłaszcza – dostępem do taniej energii.

Kwestia globalnego ocieplenia od początku były kwestią finansowo-polityczną; widać to było chociażby w słynnych hasłach „consensus” (którego nie ma i nigdy nie było) i „debata jest skończona”, rzucanych w celu zakneblowania sceptyków, i rzucanych nawet nie przez naukowców, lecz przez polityków. Ale teraz, w obliczu braku dowodów na antropogenne globalne ocieplenie i sporej liczby dowodów, które mu przeczą, w obliczu modeli, które nie są w stanie nic przewidzieć, w obliczu 18-letniej pauzy w ocieplaniu, miarowo wzrastających ilości lodu na Antarktydzie, spadku temperatur Pacyfiku po El Nino, braku jakichkolwiek śladów wzrostu poziomu oceanów, i wielu innych rzeczy – ten polityczny i ideologiczny wymiar stał się jaskrawy. Mimo tych braków dowodów kampania przeciwko sceptykom nabrała na sile, zamiast słabnąć.

Stanowi to też kolejne potwierdzenie, że globalne ocieplenie stało się religią, której kwestionowanie jest herezją, coraz bardziej obejmowane cenzurą. Gdy Philippe Verdier, który we francuskiej telewizji podawał przewidywania pogody, napisał książkę, w której wyraził cień niepewności co do globalnego ocieplenia, natychmiast został wyrzucony z pracy. Pani Prokurator Generalny Stanów Zjednoczonych Loretta Lynch ujawniła, że rozważa możliwość procesów cywilnych przeciwko „negacjonistom” w kwestii zmiany klimatu, a także zapytała FBI, czy mogliby powziąć kroki w tej sprawie. Innymi słowy, rozważa się ściganie i karanie ludzi za poglądy – i to poglądy w kwestii naukowej, dotyczącej teorii, której nikt nie udowodnił.

Czy będą niedługo ścigani naukowcy za niesłuszne wyniki badań, niezgodne z hipotezą globalnego ocieplenia? Niewykluczone. Na początku 2016 r. grupa dwudziestu prokuratorów generalnych z partii

demokratycznej oświadczyła, że będzie ścigać karnie przedsiębiorstwa związane z naftą i gazem, które kiedykolwiek wyrażały sceptycyzm co do antropogenicznego globalnego ocieplenia i kwestionowały rzekomy naukowy „consensus”. Na dodatek działają one dzięki wsparciu grup związanych z zieloną energią. Tak więc państwo narzuca cenzurę i ucieka się do postępowania karnego dzięki wsparciu zewnętrznych grup interesów.

Ale ociepleniowcy teraz sami przyznają – a raczej nie tyle przyznają, co z dumą oświadcniają – że im chodzi o politykę. Kiedyś przyznawali się tylko do lewicowych poglądów; nieliczni wśród nich przyznawali, że walka z globalnym ociepleniem ma coś wspólnego – a dla nich jest nierozdzielnie złączona – ze zwalczaniem kapitalizmu. Teraz jednak posunęli się o krok dalej i twierdzą otwarcie, że chodzi im o „sprawiedliwość klimatyczną”. (Być może zachęciła ich do tego encyklika Franciszka, który zdaje się podzielać ich pogląd na sprawę, choć nie wyraża tego w tych słowach.) Kwestia globalnego ocieplenia rozumiana jako kwestia sprawiedliwości klimatycznej nie jest bowiem, twierdzą oni, kwestią naukową; jest sprawą polityczną i moralną, związaną z tak zwaną sprawiedliwością społeczną. Jak pisze Franciszek, biedni boleśniej cierpią wskutek zmiany klimatu, ponieważ mieszkają tam, gdzie wyrządza ona największe szkody. To jest jeden z dogmatów, na podstawie którego ma się kształtować polityka klimatu. Tak więc nareszcie wszystko jest jasne.

Podporządkowane nowej państwowej religii zostały też podręczniki szkolne – i to w stopniu, o którym nie marzyła nawet Inkwizycja, nie mówiąc o oskarżycielach Galileusza. W nich też będzie chodziło o sprawiedliwość klimatyczną. Niedawno władze szkół publicznych w miejscowości Portland, w stanie Oregon, zdecydowały się oczyścić

lekturę dla uczniów z wszelkich niepoprawnych treści na temat globalnego ocieplenia, w tym treści wyrażających jakąkolwiek wątpliwość co do katastroficznego stopnia zagrożenia i jego źródeł w ludzkich działaniach. Tak więc teoria globalnego antropogenego ocieplenia nawet na poziomie szkół średnich – czy może zwłaszcza na poziomie szkół średnich, bo pranie mózgow im wcześniej się odbywa, tym lepiej – ma być niekwestionowalnym dogmatem: cenzura ma obejmować nie tylko „negacjonizm” sceptyków na jej temat, lecz wszelkie wyrazy niepewności co do jej słuszności.

Tymczasem dowództwo amerykańskich sił zbrojnych nakazało, by sprawa zmiany klimatu stała na porządku dziennym we wszystkich działaniach wojska. Manewry, operacje, ćwiczenia, w tym wspólne ćwiczenia z aliantami, najrozmaitsze programy, planowanie kampanii, strategiczne plany – wszystkie operacje wojskowe mają odtąd, za pomocą ogromnej nowej biurokracji w tym celu powołanej, „wcielać kwestię zmiany klimatu i mieć na uwadze wszelkie związane z nią ryzyka i okazje”. Najbardziej mnie intrygują te „okazje”. Obawiam się jednak, że jeśli te okazje będą wypatrywane na podstawie modeli klimatologów, którym jak dotąd absolutnie nic nie udało się przewidzieć, wojsko amerykańskie może się znaleźć w kłopotach. Można tylko mieć nadzieję, że ograniczą się one do, na przykład, grzęźnięcia w błocie albo konieczności pokonywania rwących rzek tam, gdzie była przewidziana susza – ale już to może mieć poważne konsekwencje.

Tak więc w przemyśle globalnego ocieplenia nie tylko nic się nie zmieniło, lecz przemysł ten stał się coraz bardziej absurdalny, nachalny i dogmatyczny. Można się pocieszać, że tak zawsze bywa, gdy grupy interesów kurczowo się trzymają przegranej sprawy. Trudno nie

zauważyć podobieństwa do zachowania biurokratów Unii Europejskiej. I jeszcze jedna optymistyczna nuta: klimatolodzy w rozpaczy starają się przekonać państwa i instytucje, które zapewniają im pracę, że potrzebne są dalsze badania. Ale jeśli potrzebne są dalsze badania, znaczyłoby to, że przyznają, mimowolnie, iż nauka na temat globalnego ocieplenia bynajmniej nie jest, wbrew temu, co latami twierdzili w odpowiedzi na najmniejszy cień sceptycyzmu, „ustalona”. Jeśli zaś dalej się upierają, że „debata jest skończona”, znaczyłoby to, że nie ma już nic więcej dla nich do roboty i można wszystkie instytuty, posady i wydziały klimatologii zamknąć. Jedno z dwojga.

Agnieszka Kołakowska

lipiec 2016